



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

ECHO KRAKOWA

31-072 KRAKÓW

ul. Wielopole 1

1 1 4

Nr

z dn. 15-06-93

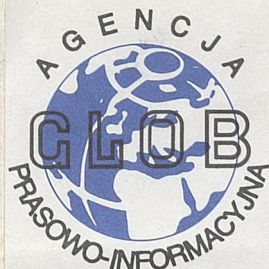
26 Gorzki miód

PREMIERA „Mieszczanina szlachcicem” Moliera w reż. Jerzego Stuhra sprowadziła do Teatru Ludowego prawdziwe tłumy znakomitych gości. Wygląda na to, że teatr w Nowej Hucie jest miejscem szczególnie lubianym przez władze miasta. Rzadko bowiem gdzie indziej można spotkać naraz wojewodę Tadeusza Piekarza, obecnego prezydenta Józefa Lassotę i byłego prezydenta, prof. Jacka Woźniako-

wskiego oraz wiceministra Edwarda Nowaka. Byli również miejscy i wojewódzcy urzędnicy, dyrektorzy teatrów, artyści i dziennikarze z szefową telewizyjnej kultury Marią Osterwą — Czekajową na czele.

Tym miłsze musiały być dla artystów rzesiste brawa i stojące owacje na zakończenie przedstawienia. Najbardziej fetowano oczywiście głównego bohatera wieczoru, czyli Jerzego Stuhra w roli pana Jourdain. Wydawało się, że postanowił on udowodnić iż Molier napisał „Mieszczanina” dla jednego tylko aktora. Czuje się w obowiązku dodać małą kroplę gorczy do wielkiej ilości miodu, która rozlała się tamtego sobotniego wieczora. Przypominając sobie kreację Bogumiła Kobieli i Barbary Krafftówny z pamiętnego spektaklu Teatru Telewizji można łatwo stwierdzić, że Molier napisał znacznie więcej niż pokazano w Teatrze Ludowym. W spektaklu z Nowej Huty zdolny składnád zespół zaistniał tylko w epizodach, zniknęły prawie postacie, bez których komedia traci swój istotny watek (Kleont, pani Jourdain). Sama zaś kreacja Stuhra była zbyt jednostronna. Trochę w tym winy samej publiczności, która chce widzieć w swym ulubionym aktorze ciągle jednego, znanego z wcześniejszych filmowych wcieleń bohatera.

Znając dyr. Jerzego Fedorowicza można mieć nadzieję, że dla poprawienia frekwencji w swoim teatrze będzie miał więcej pomysłów niż trzy „Stuhrowe” przedstawienia na raz. Teatr Ludowy czeka na nowych, nie mniej wybitnych reżyserów i aktorów... (gk)



„GLOB”

SPÓŁDZIELNIA PRACY

26

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

Gazeta Wyborcza

00-732 WARSZAWA

ul. Czerska 8/10

Nr z dn.

1 3 9

1 7 -06-93

Moc maskarady

**Stuhr reżyseruje
i gra Moliera**

Dla kogo Molier powołał na świat „Mieszczanina szlachcicem”? Niektórzy twierdzą, że dla króla Ludwika XIV, który zamówił sztukę jako ozdobę polowania. Inni, że zapisał ją w spadku Bogumiłowi Kobieli. Od ostatniej soboty krąży nowa wersja. Postać i perypetie pana Jourdaina to prezent dla Kobieli i dla Stuhra.

Na premierę podwójnie swojego (reżyseria i rola tytułowa) „Mieszczanina” wybrał Stuhr Teatr Ludowy. W ten sposób znowu – po „Iwonie księżniczce Burgunda” i „Poskromieniu złoŹnicy” – zmusił leniwych krakowskich sŹnów do przebycia dziewięciu kilometrów z centrum do Nowej Huty.

Cheć podkreślić, że ten trud dzieli razem z nimi, pierwsze wejście na scenę odbywa od strony widowni. Granicę rampy przekroczy jeszcze tylko raz, pod koniec spektaklu. Siądzie na brzeŹku sceny, zastanawiając się nad sensem swoich błaŹeństw. Będzie wtedy panem Jourdainem i Jerzym Stuhrem jednocześnie. Poza tymi momentami aktor i cała uruchomiona przezeń maszyna teatralna zamkną się bez reszty w granicach teatralnego pudełka.

Stuhr jak ognia wystrzega się w tym spektaklu tanich, łatwo narzucających się aluzji do współczesnej sytuacji. Prezen-

tuje człowieka, którego największym grzechem było to, że bez zastrzeŹeń wierzył wszelkim pozorom. PoniewaŹ panów Jourdain pelno w naszym otoczeniu, bardzo chętnie śmiejemy się z naiwności Molierowskiego bohatera. Przy tym to człowiek tak bezbronny, tak łatwo wystawia się na razy otoczenia, że musi wzruszać. W wydaniu Jerzego Stuhra jest wielkim dzieckiem, które ma zawsze zapisane na twarzy to, co nosi w sercu. Kocha bez wzajemności lepszy świat, do którego nie potrafi dotrzeć.

A przecieŹ ten lepszy świat jest. Nazywa się maskarada, nieustającym karnawałem albo teatrem. W

nim wszystko jest możliwe. Jak w spektaklu Stuhra: chłop z abażurem i Źwiecami na głowie, turecki show z udziałem sultana, a wreszcie stojąca owacja zgotowana artyŹcie, który tak głąboko wierzy w moc sztuki, że nie musi dopisywać jej żadnych dodatkowych funkcji. Byłem, widziałem, Stuhr i śmiech zwycięŹyli.

Marek MIKOS

Molier, „Mieszczanin szlachcicem”. Przekład: Tadeusz ŹeleŹski (Boy). Reżyseria: Jerzy Stuhr. Scenografia: ElŹbieta Krywsza. Muzyka: Jolanta Źcierba. Choreografia: Agnieszka Łaska. Premiera: Teatr Ludowy w Krakowie – 12 czerwca

18.VI.33

Molier à la Stuhr

Sobotnia premiera w Teatrze Ludowym to naprawdę gratka dla miłośników talentu aktorskiego **JERZEGO STUHR**. Ten arcypopularny gwiazdor sceny i ekranu, który ostatnio, niestety, coraz rzadziej umożliwia nam podziwianie swych teatralnych kreacji, wyraźnie upodobał sobie nowohucki zespół i przygotował wraz z nim trzecią już z kolei premierę. Po **GOMBROWICZU** i **SZEKSPIERZE** przyszła kolej na **MOLIERA** i jego „Mieszczanina szlachcicem”. Utwór to może nie najistotniejszy w dorobku wielkiego komediopisarza, niemniej jednak zawierający w sobie liczne teatralne piękności i, jako zabawny konglomerat łączący elementy dramatu, opery i baletu, dający olbrzymie możliwości inscenizacyjne.

I rzeczywiście sam spektakl przygotowany został z niebywałym rozmachem i szczególną dbałością o widowiskowość, barwność i atrakcyjność oferowanego publiczności dzieła. Liczny zespół aktorski, kilkusobowa orkiestra, dużo tańca, śpiewu i muzyki — słowem zabawa, komedia, czysty teatr. Choć może chwilami w powodzi formalnych pomysłów inscenizacyjnych umyka na dalszy plan molierowska refleksja nad kondycją człowieka, jego słabościami i śmiesznościami. W spektaklu Stuhra wszystko jest bowiem grą, wszystko jest umowne, względne. Historia bogatego mieszczańskiego snoba rozegrana zostaje więc w konwencji widowiska jarmarcznego i to, dodajmy, widowiska w nie najlepszym guście, celowo krzykliwego i tandetnego (co podkreśla wizualna oprawa spektaklu autorstwa **Elżbiety Krywskiej**). Dość ograniczony, pocieszny osobnik, jakim jest pan Jourdain (Jerzy Stuhr), padający ofiarą swych śmiesznych, ale też i chwilami wzruszających tęsknot do niedostępnego mu świata arystokracji, uczestniczy w przedziwnej grze zaaranżowanej przez grupę prowincjonalnych kiepskich komediantów, poprzez własną bylejakość i ślepotę ośmieszających naiwne marzenia prostaczka. Świat sztuki, o którym marzy, jest światem hołsztaplerów i trzeciorzędnych artystów, wyższe sfery, ku którym dąży to tylko dość podefrzanego autoramentu kokoty i oszuści. Ale to przecież tylko gra, zabawa: piękna markiza za chwilę zaśpiewa kupce i otańczy wdzięczne pas, hrabia przedzierzga się w komedianta, pan Jourdain zaintonuje finałową pieśń pogłębiającą ostatecznie pyszałkowatego dumnia. Na scenie zostanie samotny pan Jourdain, groteskowa figurka z jarmarcznego teatrzyku, trochę zdziwiony,

trochę oszołomiony, świadomy wreszcie, że wszyscy setnie się ubawili jego kosztem.

Przyznam szczerze, że taka koncepcja inscenizacyjna „Mieszczanina...” trochę zaskakuje, i jako że nie jest przeprowadzona do końca klarownie, może nieco dezorientować widza, nie zawsze będącego w stanie pojąć, która postać z jakiego świata pochodzi. Stąd też i różnorodność stylów,



Od lewej Jerzy STUHR, Tomasz SCHIMSCHNEIDER i Małgorzata KRZYSICA

składnąd interesującej gry zespołu aktorskiego: od ciekawej, starannie wystudiowanej stylizacji z ducha jarmarcznej komedii czy nawet dell'arte (**Dorota Zięciowska**, **Rafał Dziwisz**, **Andrzej Franczyk**), po pewne próby odejścia od konwencji w kierunku współczesnego aktorstwa (ładne rólk **Małgorzaty Kochan**, **Beaty Schimschneider**, **Romana Gańczarczyka** i **Jacka Wojciechowskiego**). Na osobną pochwałę zasługuje też **Ślawomir Sośnierz** w bardzo sympatycznym epizodzie nauczyciela filozofii. Tym cenniejsze to, że sam tekst i konwencja inscenizacyjna nie dają niestety młodym aktorom pola do wielkiego popisu. Na scenie króluje przede wszystkim sam Jerzy Stuhr, wielki czarodziej sceny, jak barometr wyczuwający nastroje widowni, bezbłędnie odbierający jej reakcje, wychwytyjący jej potrzebę zabawy i śmiechu. I publiczność bawi się, z wdzięcznością przyjmując ofiarowaną jej przez teatr chwilę bez troskiej rozrywki.

Warto zobaczyć ten spektakl — odrobina śmiechu w dzisiejszej ponurej rzeczywistości na pewno nam nie zaszkodzi.

Agnieszka ANDRZEJEWSKA

7
lipiec 1993 r.
"Tuhura"

Teatr

Twierdzi się, że komedia jest gatunkiem ulubionym przez Francuzów od czasów farsy jarmarcznej i komedii dell'arte. Dopiero jednak geniusz Moliera połączony z jego doświadczeniem scenicznym pozwolił stworzyć mu komedię charakterów, komedię na wskroś nowoczesną.

Bohater „Mieszczanina szlachcicem”, pan Jourdain, mały, kupiecki plebejusz ma wprost religijny kult dla urodzenia. Jest on w tym tak naiwny, że aż rozczulający. Pan Jourdain nie pragnie szlachectwa dla przywilejów jakie ono daje, uwielbia je jak poeta wymarzoną ideę, rzeźbiarz marzone kształty — napisał Boy-Zeleński. Ale dodajmy: jak poeta i rzeźbiarz bez cienia talentu. Lecz Molierowski śmiech ma też w sobie po-

Śmieszny kabotyn

smak goryczy i nie zawsze jest beztroską zabawą. Jego postacie niosą na sobie ciężar nieprzystosowania do warunków, w jakich przyszło im żyć.

Biorąc pod uwagę te wszystkie uwarunkowania „Mieszczanina szlachcicem”, nie jest łatwo stworzyć śmieszną ale jednocześnie przekonywającą postać pana Jourdain. Nie wystarczy nauczysz się tekstu wyjść na scenę, aby pan Jourdain zaczął żyć własnym życiem i aby był tak samo śmieszny jak kiedyś. Do tego po prostu trzeba być indywidualnością. Zapewne zdawał sobie z tego sprawę Jerzy Stuhr podejmując się zagrania pana Jourdain i reżyserii „Mieszczanina”. Skala trudności tej roli jest duża nawet dla tak wielce zaprawionego w bojach od-

twórcy wielu wspaniałych ról komediowych. I trzeba od razu powiedzieć, że najnowsze wcielenie Jerzego Stuhra jest jego pełnym sukcesem.

W tym spektaklu tworzy następną z kolekcji, pełnokrwistą kreację. Jego pan Jourdain łączy w sobie zdziwienie dziecka z chamsstwem pana „znającego moc swoich pieniędzy”, zadziwienie nuworysza z przebiegłością lichwiarza. A do tego jeszcze budzi prawie naszą sympatię. Na scenie wszystko dzieje się wokół pana Jourdain. Wydaje się chwilami, że to wszystko kręci się wokół Jerzego Stuhra, tak wielkie piętno wyciska na reżyserowanym przez siebie przedstawieniu.

Spektakl może się podobać. Poprawne aktorstwo, soczystość postaci, dynamiczna, znakomicie zaaranżowana zabawa, dobry śpiew i muzyka. Scena wejścia syna sultana jest jedną z lepszych w całym przedstawieniu, które jednak nie obywa się bez potknięć. Brak synchronizacji w tańcach, nie do końca dopracowana zespołowość to drobne potknięcia, które wymagają jedynie kosmetyki.

MARIAN TOPOREK

MOLIER, „MIESZCZANIN SZLACHCICEM”. Reżyseria: Jerzy Stuhr. Scenografia: Elżbieta Kryszka. Muzyka: Jolanta Szczerba. Choreografia: Agnieszka Łaska. Teatr Ludowy w Krakowie Nowej Hucie. Premiera — czerwiec 1993 r.

26 Sztuka podobania się

„...Chciałbym to wiedzieć, czy podstawowa reguła, reguła wszystkich reguł nie jest po prostu podobanie się, i czy sztuka, która osiągnęła ten cel nie obrała właściwej drogi?”

Ten cytat z Moliera znalazł się w programie do „Mieszczanina szlachcicem” wyreżyserowanego w Teatrze Ludowym przez Jerzego Stuhr, który jednakowoż nie miał chyba w swojej pracy takich dylematów, jak jego kolega po fachu sprzed wieków. Stuhr a priori przyjął jako dogmat, że najważniejsze to podobać się publiczności i stara się to realizować bez cienia wątpliwości, rozszyfrowawszy uprzednio gęsta chyba nie tylko nowohuckich i krakowskich teatromanów.

Jednak przecież i Moliere kiedyś uwzględnił potrzeby swojej widowni, respektując warunki dworskiego zamówienia, które wymagało od niego, by utwór był przepłatany śpiewem i tańcem, oraz żeby zawierał pocieszna „ceremonię turecką”. Miało to wówczas swoje polityczne przyczyny. Dla nas dzisiaj ta komedia to już tylko czysty teatralny fajerwerk i sarkastyczna kpina — skądinąd niesłychanie aktualna — z ludzką próżnością podszytej głupotą. Jednak reżysera chyba niesłychanie bawiły w scenicznej realizacji właśnie pretensjonalne wymagania dworskie sprzed wieków. W ten sposób lekko tańca, śpiewu i fechtunku, a nawet filozofii, którym z lubością oddawał się Pan Jourdain, w wykonaniu nowohuckich aktorów były prawdziwymi popisami aktorstwa nieco rewiewego, lekkiego i — co niesłychanie cenne — zespołowego, skupionego wokół Mistrza i reżysera, który jednocześnie gra w przedstawieniu tytułową rolę. Jednak ten koncentryczny układ

na scenie jest dla aktorów chyba dość obosieczny. Z jednej strony to sprawdzony już przy okazji „Iwony księżniczki Burgunda”, niesłychanie skuteczny chwyt, na który publiczność niezawodnie reaguje szczerą radością. Z drugiej natomiast strony ten jednak gwiazdorsko pomyślany spektakl trochę spycha w cień wysiłki całego zespołu, które jeżeli się im przyjrzyć, są niesłychanie ciekawe i efektowne. Gagi i dowcipy sceniczne Jerzego Stuhr wszyscy dobrze znamy, cenimy i lubimy, ale czasem jesteśmy w stanie przewidzieć każdy następny grymas jego twarzy. Natomiast zaskakuje np. nieco dwuznaczna, zbudowana na kociach, ale zmanierowanych ruchach rola Rafała Dziwisza, nauczyciela tańca. To tylko jeden mały przykład, bo całe przedstawienie tryska pomysłami i kolorami. Seledyny i wściekłe róże określają koloryt doznań estetycznych, do których zdolny jest Molierowski mieszczanin o szlacheckich ambicjach.

Choć pod stwierdzeniem, że „równie trudno zważyć jest utwór, który podoba się publiczności, jak bronić tego, który ona gani”, widnieje w programie podpis Moliera, to prawdę te poświadcza również swoim — zamieszczonym poniżej — wizerunkiem we francuskiej peruce sam Jerzy Stuhr, z którym trudno w takiej sytuacji polemizować. Nowohucki „Mieszczanin” jest niewątpliwie spektaklem, który będzie się podobał publiczności.

MARIA WAŚ

Teatr Ludowy: „Mieszczanin szlachcicem” Moliera, przekł. T. Zeleniński-Boy, reż. J. Stuhr, scen. E. Krywsza, muz. J. Szczerba, prem. 12.06. 1993 r.

TEATR

03-902 WARSZAWA
ul. Jakubowska 14

10 — z dn. 10 - 93

TEATR PRZEDSTAWIENIA

26

LEKCJA ŚMIECHU

Dobrze jest obejrzeć naprawdę śmieszne przedstawienie. Wyznacznikiem „czystego” komizmu są trzy cechy: bezpodtekstowość, bezaluzynność, bezkompromisowość. Spróbuję je opisać posługując się przykładem krakowskiej realizacji *Mieszczanina szlachcicem* w reżyserii Jerzego Stuhra. Wydarzenia w domu pana Jourdain rozgrywają się poza miejscem i czasem. Przyjęta dla ich ukazania konwencja widowiska muzyczno-baletowo-kabaretowego nie wymaga komentarzy. Komedia Moliera okazuje się partyturą teatralnej wersji przypowieści o snobie i głupcu w jednej postaci. Jest punktem wyjścia dla wariacji aktorskich nowohuckiego zespołu i inspiracją reżyserskich pomysłów. Tragikomiczna turecka maskarada czwartego aktu nie służy bynajmniej określaniu typowych zachowań, panujących mód i obyczajów Francji siedemnastego wieku. Jest ponadczasowa. Celuje w konkretnego, ale nie określonego czasem człowieka, w jego charakter i sposób myślenia.

Zabawny nastrój buduje prosta scenografia: trzy ustawione na planie trójkąta drewniane estradki. Na jednej rozsiedli się przygrywający w domu państwa Jourdain muzycy. Druga pełni rolę garderoby dla tancerzy. Trzecia jest salonowym teatrzykiem z jasną kurtynką i rampą (pomysłowo wykorzystana m.in. w scenie podsłuchiwania przez Michasię rozmowy Doranta z Jourdainem). Między nimi porusza się niezgrabnie pan Jourdain (Jerzy Stuhra). Z głębokim przekonaniem o swoim talencie, z naiwną wiarą w osobisty wdzięk, nieudanie naśladuje „mistrzów”; nadąsanego, o kobiecych ruchach nauczyciela tańca (Rafał Dziwisz), zadziornego grubianina - mistrza fechtunku (Andrzej Franczyk), zrezygnowanego profesora filozofii (Sławomir Sośnierz). Wysztytowany przez Moliera głupiec skazany jest na ośmieszenie w spektaklu nauczycieli. Równocześnie jednak Stuhra wydobyla podwójną zależność stron. To właśnie jego pan Jourdain nadaje sens, charakter i życie scenicznym działaniom pociesznych doradców. Obecność pana Jourdain paradoksalnie nobilituje kabaretowo-sentymentalne piosenki, wykpięne sztuczki i kroki taneczne. Pokłask i aprobata nieudacznika, „niedokończonego” szlachcica i kobotyna czyni z kiepskiego, wewnętrzniego, bulwarowego przedstawienia interesujące, wyrafinowane, lepsze.

Uchwycione w postaci Jourdaina cechy osobowości „modelują” relacje między postaciami. Nieśmiały uśmiech, osobisty wdzięk, naiwne pytania, jakaś tandetność w zachowaniu czynią, że tandetna sztuka śpiewaków i tancerzy nie razi. Komediowym, grubo kreślonym teatralnym gestem i miną, drobnym, „ozdobnym” kroczeniem, sztucznie przybraną pozą Jourdain wzbudza sympatię i śmiech. Odziany w jaskrawy, różowo-czerwony kostium, w białej wykwintnej peruce stara się „poprawnie” wykonać ukłon, w dystyngowany sposób powitać markizę.

Jourdain Stuhra nie jest do końca negatywną postacią. Okrutnie wyszydza-



Scena zbiorowa

FOT. ZBIGNIEW ŁAGOCKI

ny przez Moliera nieuk i pochlebca niespodziewanie rozpoznaje w sobie nieszczęsnego, bezradnego głupca. I nagle okazuje się, że prawda o samym sobie stała się możliwa do odkrycia na skutek powtarzanych bezmyślnie ćwiczeń, niezauważalnych pozornie upokorzeń. Zaskakująca i śmiała konkluzja.

Reżyser nie skorzystał z okazji całkowitego podporządkowania sobie partnerów na scenie. Tak pokierował zespołem, że ten nie podkreśla, ale współtworzy i uzupełnia świetną aktorską kreację. Podejmuje narzucony mu rytm i styl. Prawdziwym popisem gry zespołowej jest muzyczna scena czwartego aktu - turecka maskarada. Świętowanie nieprawdziwej nominacji Jourdaina do rangi tureckiego wojewody-mamamuszi z bogatą oprawą plastyczną, wymyślnymi ruchami tanecznymi, barwnym i oryginalnym kostiumem. Przypomina karnawałową obrzędowość w orientalnym stylu. Bezkompromisowość, o której na początku wspomniałam, wiąże się właśnie z ową śmiałą próbą ogarnięcia całości dramatu o tak gęstej i złożonej strukturze materii. Z konsekwentną i skuteczną realizacją wstawek muzycznych i baletowych, błyskotliwych dialogów; z nadaniem im jednorodnej formy i komediowego wyrazu.

ALEKSANDRA REMBOWSKA

Teatr Ludowy w Nowej Hucie: *MIESZCZANIN SZLACHCICEM* Moliera. Reżyseria: Jerzy Stuhra, scenografia: Elżbieta Krywsza, muzyka: Jolanta Szczerba, choreografia: Agnieszka Łaska. Premiera 12 VI 1993.

Gdy do tej listy upowszechnianych zarzutów, które okazują się być atutem, a nie słabością mistrza, dodamy jeszcze ten największy: brak historycznej ścisłości — będziemy wówczas u sedna jego wizji. Dopiero dzisiaj bowiem potrafimy docenić znaczenie takich nagannych nieprawidłowości, jak łamanie klasycznej jedności miejsca, czasu i akcji. Wszystkie te — tropione „ze szkiełkiem w oku” — matejkowskie anachronizmy, historyczne nieprawdopodobieństwa, mieszanie postaci żyjących i od dawna zmarłych wynikają z tego, iż — jak dowiódł *brillamment* Mieczysław Porębski — „Matejko nie był trzymającym się po dziewiętnastowiecznemu faktów malarzem »historycznym«, był mitotwórcą, działającym w pozaczasowym »metahistorycznym« acz wypełnionym zabytkami przeszłości *terra*”. I dalej, kończąc za Profesorem: „Któż howiem skłonny jest dzisiaj tak naprawdę uwierzyć, że Skarga nie głosił swych kazań od grobu św. Stanisława, że pod Grunwaldem nie było salwującego się ucieczką, by ratować Zakon, komtura świeckiego von Plauen, że Rejtan na sejmie 1773 roku nie protestował przeciwko Targowicy. (Co nie znaczy przecież, że mity klamią.) Właściwa im jest (...) pewna szczególna trzecia wartość logiczna, taka mianowicie, która może prawdziwie wynikać z dowolnych, nawet ewidentnie fałszujących rzeczywistość przesłanek, sama atoli, interpretowana właściwie, może prawdziwie implikować — jak mity właśnie — prawdy wyższego niejako rzędu. Że na przykład zdrada zawsze jest zdradą, polityczna nieopatrność polityczną nieopatrnością, cywilna (i duchowa) odwaga w głoszeniu prawdy — odwagą. Matejkowski mit złotego wieku, wielkości, winy, kary i wielkopostnej pokuty narodu, takie właśnie, proste prawdy nader skutecznie malarzkimi środkami uwidaczniał”.

Anna Baranowa



18



Nigdy koniec ani początek teatralnego sezonu nie wyzwalał we mnie potrzeby ważenia, mierzenia i oceniania. Co innego koniec roku. Chciałoby się wówczas zawrzeć, przynajmniej na chwilę, przymierze ze światem, choćby tak ulotnym i marginalnym jak teatralny. Naprawdę własne grzechy lenistwa, szyderstwa i zaniechania. Opisać to, co ze strachu, zniechęcenia i wyrachowania przemilczało się, czego się nie zrecenzowało, bo z różnych powodów tak było wygodniej. Większość moich teatralnych grzechów, przynajmniej tych, które chcę wyznać, dotyczy teatru popularnego. Prawdę powiedziawszy bezpiecznie o nim nie pisać, bo a nuż ujawni się nasz gust pośledni.

Grzech pierwszy — *Trędowata*, czyli miłość do melodramatu

Od listopada 1992 roku, tzn. od czasu premiery, dręczy mnie pamięć o tym przedstawieniu, ze wszech miar zaskakującym. Szczerze mówiąc dręczy mnie mój strach przed wyznaniem zatajanego podziwu dla niebywalej zręczności i odwagi wszystkich jego twórców (adaptatorki Joanny Oleczak-Ronikier, reżysera Włodzimierza Nurkowskiego, scenografa Anny Sekuły i aktorów, zwłaszcza Agaty Jakubik, Tadeusza Szanieckiego i Piotra Urbaniaka). Nie potrafiłam w samym środku batalii o wielką sztukę, jaką staczają zagrożone drapieżnym kapitalizmem teatry, oświadczyć, że wolę dobrze wystawioną *Trędowatą* od nadętej i pretensjonalnej inscenizacji *Wyzwolenia* na scenie. Oczywiście mój wybór estetyczny był wyborem skandalizującym, a nawet „niemoralnym”, dlatego wołałam go zataić. Któż na moim miejscu zechciałby się przyznać, że bardziej wzrusza go Stefcia Rudecka niż Konrad rozszarpany przez aktorów-Erynie. (Na swoje usprawiedliwienie mam tylko jedno — Stefcię i Waldemara słyszałam i rozumiałam, a monologów Konrada zaledwie się domyślałam, bo udający prywatność i naturalność aktor szeptał i wrzeszczał coś tylko do siebie, choć najwyraźniej pod moim, widza, adresem.) Co gorsza, to właśnie kształt inscenizacyjny *Trędowatej*, a nie arcydramatu Wyspiańskiego zaskoczył mnie. Po *Trędowatej* spodziewałam się cudzystowu, parodii melodramatu, łatwej drwiny z nie tylko stylistycznej naiwności. Tymczasem w Teatrze Ludowym opowiedziano mi zupełnie serio weale nie tak prostą historię związku dwojga ludzi. Oto Kopciuszek (Stefcia — Agata Jakubik) zażądał od księcia (ordynat — Piotr Urbaniak) książęcego traktowania i jak w baśni prosił o przemięcenie się w uczucie, zaskakując swoją siłą zbyt pewnego siebie mężczyzną i zbyt surową kobietą. Żadnej tu czułości, żadnej drwiny — powaga melodramatu też bywa wzruszająca i odkrywa prawdę, co wykorzystali realizatorzy spektaklu. Ona — jak przystało na współczesnego Kopciuszka — bardzo jest świadoma swego wdzięku i ceny, więc chętnie zagra jeszcze o uczucie. On — jak przystało na współczesnego księcia — dość jest znudzony łatwością życia i chętnie wybierze tę, która zażąda od niego pokonania niejakich

trudności. Wysmakowane scenki obyczajowe, nawet te komiczne, weale nie naruszają powagi historii i powagi jej opowiadania. Reżyser i scenografka usytuowali ten dramat w wyrafinowanej scenarii modernistycznych, ciężkich salonów i saloników pełnych jakichś zeschłych ziół, w przestrzeni zamykanej i otwieranej szklanymi ścianami. Wokół bohaterki, obcej i „innej”, zacieśnia się symboliczny krąg coraz bardziej złowrogich, groteskowych figur. Świat niszczy miłosne szczęście, ale śmierć uniemożliwia uczucie. Reżyser może nieco nadużył symboliki upiornego tańca, ale całe przedstawienie, przemyślane i opracowane w każdym szczególe, sprawia radość swą teatralną sprawnością. Banal został przezwyciężony wrażliwością estetyczną i psychologiczną, nie tak znowu łatwą do osiągnięcia przy inscenizowaniu melodramatu.

Grzech drugi — *Mieszczanin szlachcicem*, czyli miłość do farsy przeszkadza krytykowi znaleźć winnego

Łatwiej przyznać się do zachwyty nad Molierowską farsą niż do zachwyty nad Mniszkówną. Tym łatwiej, że pamiętam żywiołową owację widowni Teatru Ludowego, która wita ulubionego aktora, a potem kwituje wszystkie



TEATR

Świąteczne remanenty

jego popisy niefeklanym aplauzem. Stuhra aktor komiczny jest z pewnością ulubieńcem publiczności. Zażała ją autentyczna radość grania, łatwo więc krytykowi ulec presji tego zachwyty. Tym bardziej że aktor buduje rolę ciekawie. Nie stylizuje swego bohatera, choć jako reżyser stara się narzucić światu, w którym go umieszcza, formę czytelną stylizacji: jest nią teatr w teatrze. W reżyserkich rękach Stuhra molierowsko-dworska uroczystość nabiera rubasznosci i prymitywizmu. Duża scena Teatru Ludowego mieści w sobie trzy małe scenki wędrowniej trupy teatralnej. Swoje sceniczne miejsce ma żona i córka Jourdaina, tancerze i śpiewacy. Osoba marzącego o szlachectwie Jourdaina światy łączy, on jest ich animatorem i ofiarą, widzem i aktorem. Z małych scenek na dużą scenę wypadają komiczne intermedia taneczne, wokalne i... małżeńskie. Na moniecy wylacza się turecka uroczystość, wyinscenizowana po to, aby oszukać głupiego Jourdaina i zmusić go do rezygnacji z ambicji, z udawania tego, kim nie jest, a kim tylko chciałby być. Farsowa turecka heca przekształca się w komedio-opero-balet narodów, krzykliwy i trochę nudny.

W zgodzie z tym farsowym rozgardiaszem Stuhra gra Jourdaina ostro, czasem groteskowo. Prowadzi dialog bardziej z publicznością niż z partnerami na scenie. To jej publiczności, nie zaś swoim nauczycielom śpiewu, tańca, fechtunku i filozofii chce się podobać za wszelką cenę. Zdobywa więc widownię podkreślając ekspansywność, pewność siebie, ewanietwo i grubiaństwo postaci. Pan Jourdain Stuhra jest dość długo tylko chamem z pretensjami w niewyobrażalnie śmieszno-brzydkich kostiumach. To raczej głupiec pewny siebie niż naiwny prostaczek wykorzystywany przez arystokratycznych i artystycznych naciągaczy. Aliści w trakcie komicznego procesu zdobywania szlacheckiego sznytu ten mieszczanin jakby rzeczywiście uległ sublimacji. Po pierwsze jak dziecko bawi się i cieszy wiedzą o artykulacji samogłosek, nową umiejętnością, która go od plebsu, jak mniemam, różni. Rzeczywiście z rozkoszą dowiaduje się, iż mówi prozą, i rzeczywiście tę wiedzę w sobie pieści i pielęgnuje. Ma zresztą świadomość czynionych postępów i przynajmniej jako zalotnik Markizy w istocie szybko się edukuje. Nowy świat ceremonii, niepojętej etykiety i zadziwiających umiejętności jest przedmiotem jego rzeczywistych pragnień. Daremnie chciałby w tym zgiełku form towarzyskich i pseudoartystycznych zaprezentować swe umiejętności. Jego beczący głos, jego kobza, jego muzyczne upodobania nie interesują nikogo. Pan Jourdain Stuhra stracił władzę i pewność siebie wraz ze skórą chamowatego dorobkiewicza.

Z pewnością nie będzie już wspierać sztuki, której sztuczki doprowadziły go do upadku, naraziły na śmiertelną śmieszność. Jest przeto nowym światem rozczerowany i rozczulony. Obawiam się, że współczesny pan Jourdain doświadczony teatralnym oszustwem, nie doceniony jako amant, ojciec i artysta nigdy już o szlachectwie marzyć nie będzie, nigdy niezego w sobie nie zmieni, ufając już tylko sile własnych pieniędzy, a nie zwodniczemu urokowi oglady.

Komponując wesole i udane widowisko Stuhra-reżyser nie dość wyraziście wyznaczył zadania aktorskie. Zespół świetnie spisuje się w trudnych scenach tanecznych i wokalnych. Przedstawienie pozbawione jest niestety ról aktorskich. Wszystko to, co zdarza się poza śpiewem i tańcem jest blade, przypadkowe, bez wyrazu. Jedynie scena pobicia filozofa przez krewkich artystów tańca, śpiewu i fechtunku ma wdzięk i tempo dzięki ślamazarno-zawadiackiemu uporowi znakomitego filozofa (Sławomir Sośnierz). Jednak pani Jourdain niczym nie różni się od córki Lucylli. Lucylla od służącej Michasi, a służąca Michasia od pani Jourdain. Markiza (M. Krzysica) i jej zalotnik Hrabia są nudni i tak pozbawieni dystynkcji, że trudno przypuścić, aby kiedykolwiek otarli się o arystokratyczne salony. Nawet dowcip służącego aranżującego tureckie oszustwa wydaje się nieco wymuszony. To, co było siłą *Paskromienia złośliwych* — znakomicie wymyślone i zagrane epizody aktorskie, w *Mieszczaninie szlachcicem* nie istnieje. Reżyser zbyt zaufał poetyce farsy, wierzył, że zespołowość gry zorganizowanej śpiewem i tańcem wystarczy, aby ożywić postacie. Niestety nie wystarczyła, a krytyk nigdy nie dowie się, kto właściwie zwinął: reżyser, który nie dał szansy aktorom Teatru Ludowego i pozwolił im z wdziękiem grać tylko postacie z chóru, czy też aktorzy Teatru, nie umiejący z epizodów uczynić wyrazistych ról. Na Moliera winy rzucić nie wypada, więc łatwiej przemilczeć pytanie, zwłaszcza że spektakl jest śmieszny i miły, a publiczność klaszcze.

Małgorzata Ruda

Helena Mniszkówna, *Trędowata*. Adaptacja Joanna Oleczak-Ronikier, rez. Włodzimierz Nurkowski, scen. Anna Sekuła, muz. Andrzej Żarycki. Teatr Ludowy, premiera listopad 1992.

Molier, *Mieszczanin szlachcicem*. Przekład T. Żeleński, rez. Jerzy Stuhra, scen. Elżbieta Krywsza, muz. Jolanta Szczepka, choreografia Agnieszka Łaska. Teatr Ludowy, premiera czerwiec 1993.

Ugory: Agata Jakubik i Piotr Urbaniak w *Trędowatej* Heleny Mniszkówny, Teatr Ludowy. Fot. Zbigniew Łagocki

Dekada literacka

31.XII.93



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

POLITYKA

00-835 Warszawa, ul. Miedzlana 11,

2

8-01-94

Nr z dn.

na. scenie

Ryszard III ★★

(Teatr Polski – Warszawa)

Jest jakaś generalna beziła w tym teatrze: nawet dobrze pomyślany, konsekwentny spektakl brzmi głucho. Ryszard III **Jana Englerta** nie jest potworem w przywołanym świecie – to ten świat jest potworny i, co więcej, potworny zwyczajnie, banalnie. Panowie tu spiskują i planują zamachy i zbrodnie, kobiety też spiskują i dyszą zemstą. Nie są za mądre – w ogóle nic tu nie jest królewskie w stereotypowym znaczeniu. **Maciej Prus** usilnie broni się przed truizmem inscenizacyjnym – a i tak spektakl mu zjeżdża bądź w operowość (niepowtarzalna **Nina Andrycz**, ale i sam Englert), bądź w niezamierzoną groteskę, bądź, co może najprzykrzejsze, w truizm aktorski. **Kazimierz Dejmek** ogłosił już Prusa swoim sukcesorem: czy będzie to przebudzenie kolosa z ulicy Karasia? Oby.

Mieszczanin szlachcicem ★★★

(Teatr Ludowy – Kraków)

Jerzego Stuhra widownia uwielbia: klaszcze mu na wejście, śledzi każde skrzywienie i grymas, wstaje (na szeregowym przedstawieniu, daleko od premiery) i urządza owacje na stojąco. A artysta nie zawodzi jej oczekiwań: jest komikiem wspaniałym, mistrzowsko rozplanowuje miny, etiudki, grepsy. Czasem może trochę za grube (wulgarne piosenki bardziej krakowskie niż francuskie, wyzywający kolor gaci) – ale czyżby za czasów Moliera było cienie? W cieniu mistrza ładne rótki towarzyszą-

ce tworzą zadzierzysta **Dorota Zięciowska** czy łobuzerski **Roman Gancarczyk**. W finale Stuhr na chwilę poważnie, gra gogolowskie „z czego się śmiejecie” – ale rozbawiona do łez rozbudowaną „turecką ceremonią” widownia nie ma specjalnej ochoty tego zauważać.

Tu jest potwór ★★

(Stary Teatr – Kraków)

Dziwna pół baśń, pół horror młodzieutkiego Amerykanina **Brocka Normana Brocka** pełna rozmaitych ech, refrenów, prześmiewań. **Katarzyna Deszcz** wyreżyserowała jej polską premierę może trochę nazbyt wprost: jako przypowieść o niemożności wypłatania się ze zła; zbyt jednoznaczny jest ten posępny klimat stworzony głównie muzyką **Krzysztofa Suchodolskiego**. Aktorstwo z rozmaitych parafii; warto jednak dostrzec innego niż zazwyczaj, ściszonego **Andrzeja Grabowskiego**, wiewiórczo zwinną wiedźmę **Lidii Dudy**, twardą i niewzruszoną żonę – **Magdę Jarosz**.

Wujaszek Wania ★★

(Teatr im. Bogusławskiego – Kalisz)

Rozbiła się bania z Czechowem w teatrze polskim; te nostalgiczne dramaty o niemożności wyrwania się z pustki codziennego bytowania, trafiają dziś w czułe struny. Są emocjonalnie bliskie – przede wszystkim artystom, ale wolno mniemać, że i widowni teatralnej też. Tyle że to strasznie trudne zadania. **Jan Bratkowski** na kaliskiej scenie wyreżyserował głównie przebieg akcji, jak w serialu; emocje, nostalgie, podteksty pozostały osobno – w deklaracjach referowanych wprost widowni. Obie warstwy nie bardzo chciały się „zejść”. Także gdy idzie o aktorstwo, czechowowskie wymagania przerosły nieco możliwości Teatru im. Bogusławskiego. Najlepiej poszły epizody: Niania **Kazimierzy Starzyckiej-Kubalskiej**, Tielegin **Tadeusza Trygubowicza**.

Portret rodzinny z pieniędzmi w tle ★★★

(Teatr Prezentacje – Warszawa)

Typowy spektakl Prezentacji: lekko spłaszczony interpretacyjnie, zaktualizowany dość dyskretnie, lekki, „elegancki”. Oczywiście błahy, ale błahość nie jest zbrodnią w teatrze **Romualda**

Szejda. „Profesja Pani Warren” straciła już swe ostrze, stracił je właściwie cały George Bernard Shaw. Robienie z tej starej sztuki aktualnej opowiadki o tym, jak eleganckie towarzystwo na burdelu opiera swoją egzystencję może dać co najwyżej rezultaty letnie. I takie daje – ale publiczność wiele więcej się nie spodziewa i jest zadowolona. Poprawne aktorstwo: **Marty Lipińskiej** w roli eleganckiej burdelmamy, **Leszka Teleszyńskiego** uroczego aż do momentu, kiedy musi wyznawać uczucia serio; bardzo współcześni młodzi: **Bernadetta Machała** i **Paweł Deląg**.

Mąż i żona ★★★

(Teatr Powszechny – Warszawa)

Na premierze widziałem głównie strach w oczach nawet takich mistrzów, jak **Krystyna Janda** czy **Janusz Gajos**. Misternego, różnometrycznego wiersza Aleksandra Fredry nie da się „zahaftować”, dograć; tu niezbędna jest precyzja w wymiarze, o jakim trochę już zapomnieliśmy nasz teatr (lata pogardy dla takiego repertuaru mszczą się dziś okrutnie). Ale myślę, że po opadnięciu premierowych nerwów będzie to bardzo dobre przedstawienie. Skromne interpretacyjnie: **Krzysztof Zaleski** najśluszej chyba zawierzył tu sile komicznej samej fredrowskiej intrygi, a rozmaite smaczki wewnętrzne same wyjdą w trakcie grania przy tak świetnej obsadzie – poza wspomnianymi **Joanna Żółkowska**, **Piotr Machalica** i w epizodzie **Guśtaw Lutkiewicz**.

Dekorator ★★

(Teatr Kwadrat – Warszawa)

Takie już jest okrutne życie teatralne, że sukces jednego twórcy widać najdobitniej wtedy, gdy w podobnej materii wyłoży się jak długi kolega. „Dekorator” **Donalda Churchilla** odbija znacznie w dół od profesjonalnego poziomu farsowej rozrywki, do jakiej przyzwyczailiśmy już Kwadrat **Marcina Stawińskiego**. **Andrzej Rozhin** nie potrafił nadać tej farsetce (z poważniejszymi momentami) ani tempa, ani rytmu, nie potrafił zbudować wartkiej ekspozycji, nie potrafił narzucić stylu. Spektakl telepie się od nieoczekiwania łzawego monologowania do tanich wygłupów, z których nikt się nie śmieje. Zagubienia nie potrafi ukryć nawet taki rutyniarz, jak **Wojciech Pokora**; **Ewa Borowik** gubi się w swojej roli, a ślicznej i zdolnej **Małgorzacie Foremniak** takiego debiutu w Warszawie należy głęboko współczuć.

King Kong Palace ★

(Teatr Studyjny – Łódź)

W pomyśle sztuki **Marco Antonio de la Parra** coś jest: King Kong przedwcześnie się ucłowieczył, został królem w swoim afrykańskim kraju i zdegrengolował się ze szczeniem. Gdyby przygotował to ktoś, kto by potrafił zjadliwie i mądrze igrać z poetyką komiksu (i w ogóle świata masowej wyobraźni) wydobywać z niej

i kpiące, i liryczne tony mogłoby może powstać ciekawe, niebanalne przedstawienie. Nie było to jednak zadanie dla **Pawła Nowickiego** – autora przekładu urągającego językowi polskiemu i reżysera nudnego, niezrozumiałego, żenującego amatorszczyzną przedstawienia.

★★★ – dla wszystkich

★★ – dla amatorów

★ – dla najwytrwalszych

Komentował ~~Jacek Sieradzki~~

GAZETA

GLIWICKIE SPOTKANIA TEATRALNE

FESTIWALOWA

NR 1

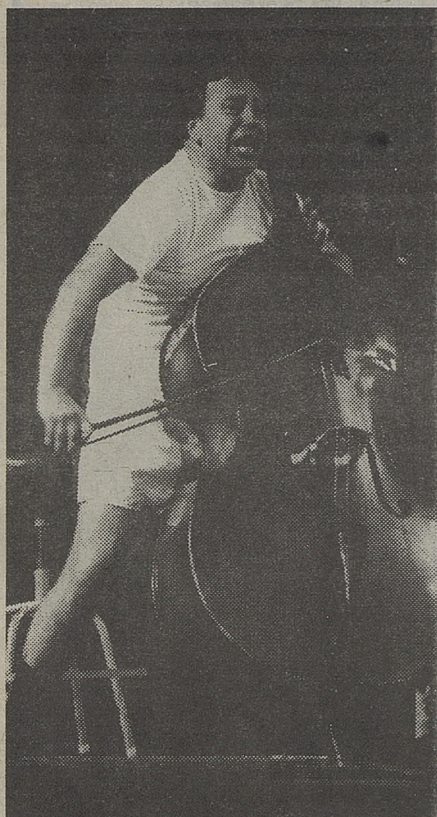
Tegoroczne Gliwickie Spotkania Teatralne rozpoczęły dwa spektakle zrealizowane przez Jerzego Stuhra. W pierwszym dniu Spotkań, 6 maja, mieliśmy okazję zobaczyć „Kontrabasistę”, a nazajutrz spektakl Teatru Ludowego z Nowej Huty „Mieszczanin szlachcicem”. Części artystycznej wizyty Jerzego Stuhra towarzyszyła również część towarzyska, do której zaliczyć można wizytę artysty w Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 4, gdzie spotkał się z młodzieżą. Zarówno uczniowie, jak i tłumnie obiegający aktora dziennikarze przyznali zgodnie, że prywatnie jest on bardzo otwartym i serdecznym człowiekiem. Poniżej zamieszczamy relację z przedstawień, które Jerzy Stuhr przywiozł w tym roku do Gliwic

DWA WIECZORY Z JERZYM STUHREM

Wieczór drugi

„Mieszczanin szlachcicem”

Ci z widzów, którzy cenią sobie w teatrze efektowne widowisko, mieli nie lada ucztę w sobotę 7 maja. Na deskach Operetki Śląskiej wystąpił zespół Teatru Ludowego z Nowej Huty w komedii Moliera „Mieszczanin szlachcicem”. Inscenizacja w reżyserii Jerzego Stuhra, który zagrał też główną rolę, jednym zachwyciła, innych natomiast zniechęciła swoim rozmachem i żywiołowością. Według słów Tadeusza Boya-Żeleńskiego „Mieszczanin szlachcicem” to „jeden z owych utworów Moliera, które powstały naprędce na zamówienie dworu”. Krytyk pisze dalej: „Zazwyczaj Moliere wybierał swobodnie temat do takich widowisk. Tym razem nałożono mu go poniekąd, a przynajmniej dwa warunki: mianowicie, aby utwór był przeplatany śpiewem i tańcem, po wtóre, aby zawierał pocieszną „ceremonię turecką”. Dramatopisarz wywiązał się z zadania znakomicie, tworząc przepyszne widowisko, które zdobyło laskawą przychylność Najjaśniejszego króla-Słońce. Jerzy Stuhr przystępując do realizacji sztuki przejął całe jej bogactwo formalne. Płaskujące pasterki mają się tu z biesiadnymi śpiewakami i szarżującymi na scenie fechtmistrzami, by w końcu spotkać się z nimi w wieńczącym spektakl imponującym „grande finale” (wielkie brawa dla młodych aktorów Teatru Ludowego, których umiejętności wokalne i taneczne okazują się dorównywać sprawności aktorskiej). Przenikający wszystkie popisy subtelny ton pastiszu pozwala skosztować ten obfity sztafaż ze smakiem, bez uczucia dręczącego nadmiaru. Czas najwyższy powiedzieć, o czym traktuje sztuka. Otóż, odwołując się raz jeszcze do słów Boya, dotyczy ona „tej przywary, o którą już nieraz (Moliere) mimochodem potraçał, mianowicie ludzkiej próżności, owego tak częstego, jak byśmy dziś powiedzieli, snobizmu”. Tytułowy bohater, pan Jourdain, to bliski krewny molierowskich „świątoszków” i „skąpców”. Postać naszkicowana została przez wielkiego satyryka kilkoma mocnymi, charakterystycznymi kreskami. Dominuje w niej jedna cecha: namiętność do blasków i splendorów szlachectwa. Znane z dziesiątków komedii (w tym molierowskich) perypetie, osnute wokół wątku ojca-tyrana stającego na drodze małżeńskiemu szczęściu swojego dziecka, znajdując tu finał we wspomnianej już „ceremonii tureckiej”. Pan Jourdain do końca jest przekonany, że dzięki szczególnej łaskawości niebios oddał swą córkę sułtańskiemu dostojnikowi, podczas gdy w przebraniu tym kryje się jej zacięty i wierny ukołochany. Cnota zostaje nagrodzona, głupota ukarana i ośmieszona - wszystko zatem kończy się dobrze. Szkoda tylko, że ta ostatnia okazuje się nieuleczalna. I, chciałoby się rzec, wieczna. Jerzy Stuhr nie ukrywa, że do wystawienia „Mieszczanina szlachcicem” zainspirowała go między innymi nieprzemijająca aktualność moralu sztuki. Farsowa postać pana Jourdain - bezmyślnego czciciela szlacheckich blasków, próbującego na siłę „wyjść ze swojej skóry” - razić może dzisiejszego widza pewną wulgarnością, grubością pióra, które ją nakreśliło. Stuhr w swojej kreacji nieszczerstego głupca nie próbuje tych ostrych rysów wygładzać, świetnie oddając klimat molierowskiej komedii i uwydatniając jej jakże proste przesłanie: „Bądźmy sobą!” (mze)



Wieczór pierwszy

„KONTRABASISTA”

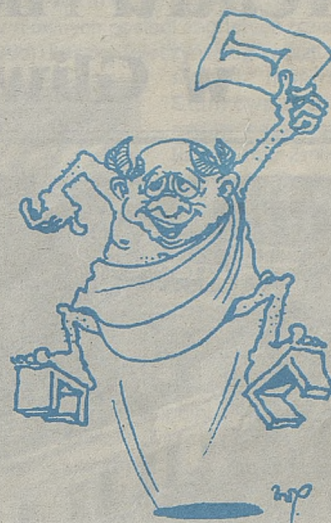
Trudno wyobrazić sobie bardziej efektowną inaugurację Spotkań Teatralnych niż ta, jaka nastąpiła w piątek 6 maja. „Na dobry początek” V GST wystąpił Jerzy Stuhr w reżyserowanym przez siebie spektaklu „Kontrabasista”. Ten legendarny już monodram, oparty na opowieści współczesnego niemieckiego prozaika Patricka Süskinda, zdążył w ciągu ośmiu lat podbić zarówno polską, jak i międzynarodową publiczność, docierając aż na antypody. Gliwicy teatromani przybyli tłumnie, by skonfrontować towarzyszącą mu famę z rzeczywistością. Wydaje się, że nie byli rozczarowani, o czym świadczył gorący aplauz po zakończeniu przedstawienia. A było co okłaskiwać. Dwugodzinny popis gry aktorskiej Jerzego Stuhra potwierdził klasę (i świetną kondycję) artysty. Nie zawiodła jego „vis comica”, roziskrzając tekst Süskinda niepowtarzalnym humorem. Rzecz cała rozgrywa się w pokoju nieznanego z imienia „kontrabasisty Państwowej Orkiestry Symfonicznej”, któremu towarzyszymy w rutynowej krzątaniu przed wyjściem na wieczorny koncert. Z chaotycznego monologu bohatera, skierowanego bezpośrednio do publiczności, stopniowo wyłania się obraz nielekkiego życia muzyka „zza pulpitu numer 3”. Pensja co prawda stała, ale marna, zawsze w ostatnim rzędzie, bez widoków na solową karierę... „Kontrabasista” zostaje się z przypadku i rozczarowania. Nie ma wśród nas, kontrabasistów Państwowej Orkiestry, ani jednego, któremu by życie nie dało po łbie” - wyznaje bohater. Dużo uwagi poświęca prezentacji swojego instrumentu. „Trzeba mieć wielką siłę, żeby smyczkiem wydobyć jakikolwiek dźwięk z tego cholernego pudła, żaden piękny dźwięk... zresztą o takim nie ma co marzyć, bo w tym pudle nie ma pięknych dźwięków...”. Szczegółowym rozważaniom o licznych wadach i niewielu przymiotach kontrabasisty towarzyszy drugi wątek, który z czasem zdominuje monolog bohatera. „Ma na imię Sara i śpiewa partie solowe. Ach, jak ona śpiewa...” Skrywana namiętność do pięknej solistki wnosi w jego monotonne, czterdziestokilkuletnie życie elementy rewolucyjne. Kusi do rzeczy wielkich. I oto zapominamy

Wybieramy najlepszy spektakl V GST!

Popularność różnego typu rankingów zachęcała i nas do zaproponowania widzom Gliwickich Spotkań Teatralnych podobnej zabawy. Prosimy zatem o wytypowanie najciekawszego spektaklu, zasługującego, zdaniem Państwa, na miano scenicznego (lub ulicznego) przeboju V Gliwickich Spotkań Teatralnych. Na podstawie zgłoszeń, na które czekamy do 27 maja br. pod adresem Miejskiego Ośrodka Kultury (Gliwice, Rynek 18), ułożona zostanie lista Państwa „faworytów”. Ogłosimy ją w „Nowych Wiadomościach Gliwickich” na początku czerwca.

Uwaga! Przewidziana jest również nagroda w postaci bezpłatnego karnetu na wszystkie imprezy organizowane przez MOK do końca 1994 roku wraz z karnetem na przyszłoroczne Spotkania Teatralne. Otrzyma ją jedna z osób, które wytypują najlepszy spektakl.

Zapraszamy do zabawy!



- W przypadku „Kontrabasisty” formę monodramu narzucił sam tekst. Tak został po prostu napisany. Myślę, że po latach zdobyłem pewne pensum wiedzy na temat tego zawodu, predystynujące mnie do udźwignięcia tej formy. Odpowiada mi ona i muszę przyznać, że jest to chyba jedyny spektakl, w którym się nie nudzę. Mam już takie okresy znudzenia powtarzalnością. Tak się złożyło, że w Starym Teatrze, skąd się wywodzi, brałem udział w największych inscenizacjach i mam na swoim koncie przed-

artystycznie i nie zamieniam się w grupkę ludzi, która zapewnia sobie byt komercyjny. Walczą o swoje miejsce na mapie teatrów Polski. W związku z tym mają obowiązek nie obniżyć poprzeczki. Wczoraj, na przykład, mieli premierę „Balladyny” z Rudolfem Ziolo. Ja przychodząc tam z propozycjami wiem, że muszą one spełniać podwójną rolę. Po pierwsze musi to być teatr zrozumiały, „biorący” widza swoją żywiołowością, czyli teatr bardziej emocjonalny niż intelektualny. I takie są te przedstawienia: „podszyte”

emocją i młodzieńczością aktorów. Po drugie, działając na obrzeżach Krakowa w szalenie trudnym środowisku, teatr ten musi spełniać rolę edukacyjną.

- Dlaczego wybrał Pan „Mieszczanina szlachcicem”? Sztuka ta nie należy do najbardziej zna-

„Lubię teatr odbierany emocjami”

z JERZYM STUHREM
rozmawia Małgorzata Zalewska-Zemla

stawienia grane po dwieście, trzysta razy. Natomiast „Kontrabasista” nie nuży mnie, gdyż publiczność, czyli ten partner, który jest zawsze nowy, wyznacza mi nowe tropy. I ja muszę być bardzo czujny, skoncentrowany, aby tę dzisiejszą publiczność poprowadzić w specyficzny i niepowtarzalny sposób.

- Porozmawiajmy teraz chwilę o dzisiejszym przedstawieniu. „Mieszczanin szlachcicem” jest kolejną inscenizacją klasyki dramatu, zrealizowaną przez Pana z zespołem Teatru Ludowego w Nowej Hucie. Przypomnijmy, że wcześniej było „Poskromienie złośnicy” Szekspira i „Iwona, księżniczka Burgunda” Gombrowicza. Taki dobór dowodzi odwagi w sytuacji, gdy repertuar teatralny coraz bardziej się komercjalizuje.

- Zespół Teatru Ludowego tworzą ludzie, których miałem kiedyś okazję uczyć zawodu w krakowskiej szkole teatralnej. Uważam ich za artystów. To znaczy - mogą się oni mylić, być niedojrzali, nie umieć wielu rzeczy, ale myślą

nych komedii molierowskich. Czy zdecydowały o tym walory sceniczne sztuki, czy może aktualność jej przesłania?

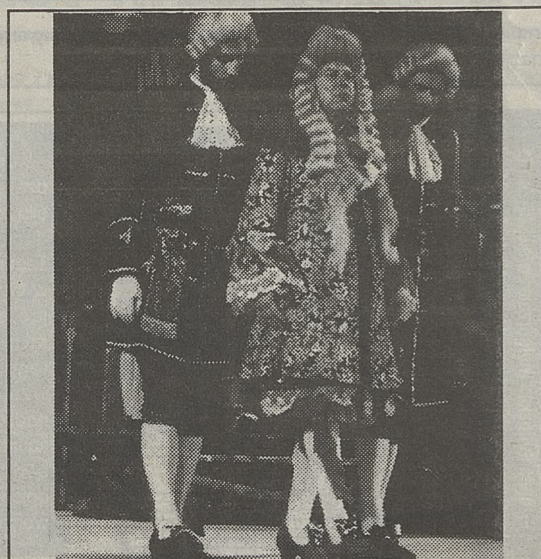
- Wymienia pani wszystko to, co brałem pod uwagę. Szczególnie ważne i potrzebne wydało mi się przypomnienie prawdy, że trzeba być sobą, że nie wolno się sobie sprzeniewierzać. Bo to się nie uda. Jeśli ktoś się urodził pod tą szerokością geograficzną, to nie może zacząć się tego wstydić i udawać kogoś innego. Ta prosta prawda jest wciąż aktualna.

- Na koniec pytanie o Pana upodobania teatralne. Pana jako widza, jeżeli taka perspektywa jest możliwa do przyjęcia. Proszę powiedzieć, jaki rodzaj teatru ogląda Pan najchętniej?

- Jestem tak „skażony” zawodowo, że trudno mi osiągnąć stan czystego, dziecięcego zachwytu, a tak trzeba teatr przeżywać. Ale zawsze składam się do teatru odbieranego zmysłami. Zdecydowanie najbliższy jest mi odbiór emocjonalny.

kontrabasista z ostatniego rzędu orkiestry postanawia wykrzyknąć w czasie koncertu na cały głos imię swojej ukochanej (scena, w której bohater planuje ów anarchiczny czyn należy do najlepszych w sztuce). „Ale by to było...” mityguje się po chwili. Rozstajemy się z nim, gdy gotowy do wyjścia żegna się, obiecując sobie, że może dzisiaj się odważy... Naszkicowana kilkoma kreskami „anegdota” spektaklu nie jest w stanie oddać jego niepowtarzalnego klimatu. Składa się nań zarówno tekst - pełen wirtuozerii słownej, z licznymi dygresjami i niespodziewanymi zwrotami toku myśli bohatera - jak i jego mistrzowska interpretacja przez Jerzego Stuhra. Przeplatające się tonacje - komiczna i poważna - wymagają oddania przez aktora ciągłej gry nastrojów. Z zadania tego wywiązuje się znakomicie. Ani jeden ton nie brzmi tu fałszywie. Nawet balansując na granicy farsy Stuhr zachowuje wiarygodność i „nie wychodzi z roli”. W sumie tworzy postać pełną, bogatą w różnorodność, nierzadko skrajne emocje i bardzo „ludzką” w swojej samotności, nieporadności i groteskowych „snach o potęgę”. Wydaje się, iż w małym pokoiku kontrabasisty niejedną z nas mógł onaleźć siebie samego.

(zem)



RZECZPOSPOLITA
02-015 WARSZAWA
Pl. Starynkiewicza 7

Nr z dn.

49 27-02-95

Somosierra Stuhra

„Mieszczanina szlachcicem” (1670) napisał Moliere naprędce, na zamówienie dworu królewskiego. Utwór miał zawierać pocieszną „ceremonię turecką” oraz śpiewy i tańce. Komedio pisarz wywiązał się z zadania błyskotliwie, choć w porównaniu z innymi jego utworami scenicznymi ten akurat grzeszy uproszczeniami. Postać Pana Jourdaina, bogatego mieszczanina, który w nieprzepartym dążeniu do wejścia w sferę arystokracji zatracą zdrowy rozsądek razem z elementarnym poczuciem przyzwoitości, zarysowana jest grubą farsową kreską. Moliere, zazwyczaj czuły na wszelkie fałszy i odstępstwa od logiki scenicznej, pozwala np., aby jego bohater niemiłosiernie kaleczył zasłyszane zwroty grzecznościowe, czy też miał kłopoty z zapamiętaniem przymiotnika „dystygowany”, gdy tymczasem podczas „ceremonii tureckiej” Panu Jourdain udaje się bezbłędnie powtarzać skomplikowane i rozbudowane zdania nie istniejącego pseudojęzyka.

W tradycji wystawiania „Mieszczanina szlachcicem” przerysowanie postaci głównego bohatera było łagodzone zamierzonym oszczędnością środków aktorskich. Dobrym na to przykładem jest wciąż przypomniana telewizyjna wersja tej komedii,

z powściągliwą kreacją Bogumiła Kobieli. Jerzy Stuhra, reżyser i odtwórca głównej roli w spektaklu wystawionym w krakowsko-nowohuckim Teatrze Ludowym, zastosował całkiem odmienną taktykę.

Zawarte już w tekście Moliera farsowe przerysowania, w warstwie inscenizacyjnej zostały po wielokroć podkreślone głosem, gestem, kostiumem, muzyką, choreografią, tempem. Miałem wrażenie, że w tym widowisku na nic więcej już nie została miejsca i za chwilę „wystąpi z brzegów”.

Jako aktor Jerzy Stuhra czerpie obficie z arsenalu typowych dla siebie komediowych grepsów. W scenie, w której Czeladnik krawiecki (Krzysztof Gadacz), zwierzywszy interes w kadzeniu nuworyszowi stopniuje tytuły („jaśnie pan”, „jaśnie oświecony pan”, „ekscelencja”), Stuhra wije się niby wąż w tańcu godowym. Zmienia timbre głosu na wyższe, „pieszczotliwe” rejestry, a przyskakując z kolejnymi banknotami do lizusa, roziskrzonym wzrokiem kontroluje, jakie wrażenie wywarły na otoczeniu nienależne mu słowa. Miłośnikom, a zwłaszcza miłośniczkom popularnego aktora ta — i nie tylko ta — scena zapiera dech w piersiach. Wydaje mi się jednak, że reżyser-Stuhra za dużo pofolgował aktorowi-Stuhrowi. Spektakl, zbudowany na sta-

roświeckiej teatralnej opozycji: gwiazda — zespół, sprawia, że z tego artystycznego „pojedynku” obronną ręką wychodzą zagrane z naturalną swobodą dalsze postacie: Pani Jourdain (Dorota Zięciowska), Michasia (Beata Schimscheiner), Covielle (Roman Gancarczyk) czy świetny w swej wyrazistości Nauczyciel filozofii (Sławomir Sośnierz) itd. przez cały afisz.

W spektaklu Stuhra wyszły na jaw stare prawdy — że ograniczenie czyni mistrza, i że piętrzenie na słowie jakichkolwiek ilustracyjnych efektów nie popłaca, bo nieuchronnie zmierza w stronę autoparodii i kiczu. Nie zmienia to oczywiście faktu, że Stuhra jako aktor dał w tym przedstawieniu szarżę równą Somosierze, więc należało ją uczcić przynajmniej aplauzem, czego byłem świadkiem w Teatrze Dramatycznym.

JANUSZ R. KOWALCZYK

Moliere „Mieszczanin szlachcicem”. Przekład Tadeusz Żeleński (Boy). Reżyseria Jerzy Stuhra. Scenografia Elżbieta Krywsza, muzyka Jolanta Szczerba, choreografia Agnieszka Łaska. Premiera czerwiec 1993 r. Teatr Ludowy z Krakowa-Nowej Huty. W cyklu: Goście Teatru Dramatycznego — 24, 25 lutego — Warszawa.



Na zdjęciu J. Stuhr i A. Franczyk

Fot. Z. Łagocki

Stuhr gra Pana Jourdain

Snob o sercu dziecka

WARSZAWSKA publiczność w Teatrze Dramatycznym przyjęła bardzo gorąco molierowskiego „Mieszczanina szlachcicem” wystawionego przez Teatr Ludowy w Nowej Hucie. Oklaskiwano przede wszystkim Pana Jourdain — Jerzego Stuhra, ale również Stuhra — reżysera, który z młodym zespołem nowohuckiego teatru stworzył przedstawienie pełne wdzięku, współczesne, a zarazem wierne Molierowi. Żywiota radość życia udzieliła się widzom i poderwała ich do stojącej owacji.

Radość Pana Jourdain nie ma granic, gdy podczas lekcji filozofii dowiaduje się, że przez całe życie — nie wiedząc o tym — mówił prozą. Zawsze przecież czuł, że wart jest więcej niż chciano mu to wmówić. Mając pieniądze, zdecydował się wejść do świata wyższego, subtelniejszego, piękniejszego. To snob doskonały, bezinteresowny, naiwny. Nie ma nic wspólnego z chamami, którzy sądzą, że za forszę można kupić wszystko. Pan Jourdain pragnie się doskonalić. Jest marzycielem. W głębi jego duszy kryje się dziecko, które siedząc w kącie z zazdrością obserwowało zabawy rówieśników, do których go — nie wiedzieć dlaczego — nie dopuszczano.

Zamiar przedzierzgnięcia się w szlachcica — w oczach świata ośmieszający i farsowy — jest tu w gruncie rzeczy heroiczną próbą realizacji wielkiego snu dzieciństwa. Dlatego właśnie Pan Jourdain tak łatwo wchodzi w każdą przebieraną i maskaradę. W gorsze-peniuarze wyrzutowany przez krawców-pedałów, w zbyt ciasnych trzewikach, w szlafroku z pomponami, w upiornym, papuzim „garniturze wi-

zytowym” i nieprawdopodobnej peruce jest nie tylko śmieszny, ale także wzruszający. Jakże ufnie wypina pupę ku niebu podczas sfingowanej uroczystości mianowania go tureckim dostojnikiem! Jak dzielnie znosi razy kijów, których mu nie szczędzą! To dlatego, że czuje się wtedy nie tylko w swoim żywiole, ale po prostu w swoim niebie. Stuhr dla Pana Jourdain nie jest okrutny, ale współczujący i roztacza wokół niego aurę ciepła.

Molier, który tworzył przedstawienia dworskie na zamówienie Ludwika XIV, uatrakcyjniał swe sztuki baletami, scenkami pasterskimi („znowu ci pastyrze” — frasuje się Pan Jourdain) i alegorycznymi, z którymi współczesny teatr na ogół nie wie, co począć. Drugi akt „Mieszczanina szlachcicem” wypełnia turecka maskarada. W nowohuckim teatrze przeradza się ona w zabawę ludową, raczej niż dworską — w prawdziwy karnawał. W tej konwencji mieszczą się doskonale tańce hiszpańskie i włoskie, stroje z różnych epok, przebieranki chłopaków za dziewczyny, aluzje erotyczne i... ulubiona piosenka Pana Jourdain o Jagusi. Nowohucki młody zespół nie tylko zresztą w finale dowodzi swej wielostronnej sprawności, a wspiera go pomysłana bardzo ładnie scenografia Elżbiety Krywskiej i muzyka Jolanty Szczerby grana na żywo na scenie.

Po katastrofie wszystkich swych planów, Pan Jourdain siedzi w kącie z żalostnie popiskującą kobzą, która nie spodobała się nikomu prócz niego. Na dnie duszy niepoprawnego marzyciela kryje się dziecięcy smutek.

IRENA MAŚLIŃSKA



„GLOB”

SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34

tel./fax 13 44 95

DZIENNIK POLSKI

31-072 KRAKÓW

ul. Wielopole 1

79 **3 - 04 - 95**
Nr z dn.

26

■ NAGRODA DLA STUHRA.

W Teatrze Ludowym wręczono Jerzemu Stuhrowi, reżyserowi i od-
twórcy głównej roli w „Mieszczani-
nie szlachcicem” nagrodę publicz-
ności przyznaną mu na I Festiwalu
Sztuk Przyjemnych w Łodzi. (jś)

Rektor idzie na całość, czyli benefis

KALISKIE SPOTKANIA TEATRALNE. „Mieszczanin szlachcicem” Teatru Ludowego z Nowej Huty

Świetnie pamiętam taki moment z dzieciństwa, kiedy oglądałam film „Mania wielkości” z Louisem de Funès. Aktor pojawiał się na ekranie jeszcze przed czołówką, a cała widownia pokładała się ze śmiechu. Nie rozumiałam, co się dzieje. Po chwili wszystko stało się jasne.

Jerzy Stuhra działa na widzów podobnie jak de Funès. Bawiło już to, że jest. Jeśli wykonał jakikolwiek gest, widzów skręcało. Jeśli się odezwał, zrywali boki. Jeśli do tego opowiedział dowcip albo zrobił głupią minę, nie mogli opanować potoków łez.

Rola pana Jourdain, bogatego mieszczanina z aspiracjami do bycia arystokratą, nieuka zafascynowanego nauką, beztalentna zakochanego w sztuce napisana jest jakby specjalnie dla Jerzego Stuhra. Nie trzeba iść do teatru, wystarczy zamknąć oczy, żeby to zobaczyć. Paru osobom obraz zakłóci wspomnienie Bogumiła Kobieli, ale to będzie tylko parę osób.

Nie powinno więc dziwić, że Stuhra zdecydował się to zagrać – miał materiał na życiową rolę, jeszcze jedną po „Kontrabasiście”, po filmowym „Wodzirej”. I poszedł na całość, ale zatrzymał się w pół drogi, bo chyba za dużo wziął sobie na głowę. Więc jest sukces, bo tłum na widowni, ale nie ma sukcesu, bo „znawcom” czegoś w tym wszystkim brakuje.

Scena iskrzy się od złożonych kostiumów, nieustannych przebierańek, min i gagów, wszystko toczy się w wariackim tempie przywołującym wspomnienie starych „Spotkań z balladą”. Mamy więc Stuhra w negliżu, Stuhra zafrasowanego, Stuhra zdziwionego, Stuhra wzruszonego, Stuhra śpiewającego jak niegdyś na festiwalu w Opolu. Mamy Stuhra w otoczeniu dworu aktorów, którzy świetnie się bawią na scenie, czasami ocierając się o granicę prywatności. I jest w tym wszystkim ogromna siła, której brakuje większości teatrów dramatycznych w Polsce. A do tego jeszcze jest muzyka na żywo, piękna muzyka. Jest jeszcze zdecydowanie gorszy balet, zdecydowanie gorsze śpiewanie kilku aktorów i sześmierzka.

Dla dramatycznych purystów mało w tym Moliera, bo tekst podawany jest niechlujnie. Dla reżyserskich purystów za dużo w tym scenicznego brudu, bo można było rzecz zaaranżować czyściej. Dla aktorów za mało w tym solidnego aktorstwa uczniów rektora (bo młody zespół to uczniowie Jerzego Stuhra ze szkoły krakowskiej) Teatralni misjonarze martwią się, że widownia nie rozumie, z czego się śmieje. A widownia się śmieje.

Molier też się pewnie cieszy, że śmiesz jeszcze po tylu latach. Reżyser bawi się z aktorami na scenie, aktorzy z nim się bawią. I bawi się tych kilku krytyków, którzy nie zapomnieli, że w teatrze można się śmiać.

W tym spektaklu zbiega się kilka życiowych misji Jerzego Stuhra: jest aktorem, reżyserem i pedagogiem.

Parę razy dane mi było wysłuchać, co Stuhra ma do powiedzenia o kondycji współczesnego teatru. Kilka lat temu zwierzył się, że boli go schyłek epoki teatru realizmu psychologicznego, teatru

literackiego, bo to jego epoka, jego teatr. Mówił też, że martwi się o studentów wydziałów aktorskich, bo w szkole uczą ich takiego właśnie teatru, a powinni też uczyć innego, nowego. Wiem od tychże studentów, że na krakowską uczelnię zapraszani są ludzie z różnych miejsc w Polsce, na świecie, którzy prowadzą warsztaty, seminaria, którzy mącą młodym w głowach. To dobry objaw.

I zależało jeszcze Stuhrowi na tym, żeby jego studenci nie czekali na angaż do repertuarowych teatrów, żeby chciało im się robić swoje. Martwił się tym, że jemu proponuje się w Krakowie prowadzenie juwenaliów, że w młodzieży nie ma buntu, że nie jest kreatywna.

Myszę, że z tych żmartwień, rozterek wyrósł „Mieszczanin szlachcicem”. I jeszcze z ulubionej postaci Stuhra: pana inżyniera czy też inżynierka, którego opisał w „Sercowej chorobie”, który nieustannie mu w życiu towarzyszy, od którego się nie odczepi. Pan inżynier poklepie po ramieniu Stuhra spotkanego na ulicy i będzie zrywał boki na spektaklu albo lepiej przed telewizorem, podjadając zupkę.

Zobaczyłam więc bardzo autorskiego Moliera, bardzo Stuhrowego, bardzo uczciwego i przez to fascynującego.

Nie bez kozery wytłuszczono w programie tekst, że trudno zwalczać utwór, który się podoba publiczności. Nie chcę go zwalczać, cieszyłam się, że jestem na żywym przedstawieniu. Bo teatr to nie perfekcyjnie zagrany Molier. Teatr to Molier i ten człowiek, który go przeczytał, a teraz gra, żeby opowiedzieć o sobie. I uśmiechnęłam się serdecznie, kiedy w ostatniej scenie już nie monsieur Jourdain, ale Jerzy Stuhra mówi, że nie wpakuje się nigdy więcej w taką komedię.

Wpakuje się Pan, Panie Jerzy. Bo Pan to lubi i Panu z tym wygodnie. Bo jest jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, a Pan ciągle ma więcej energii niż Pana studenci. Stać Pana na większy wygłup i na większy wstyd z tego powodu. Nikt Panu nie zorganizuje lepszego benefisu niż ten, który sam Pan sobie wyreżyserował. To smutne i piękne. Jak sztuka. Jak życie.

EWA OBRĘBOWSKA-PIASECKA



„GLOB”

SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

Gazeta Poznańska

60-782 POZNAŃ

ul. Grunwaldzka 19

Nr 107 10 - 05 - 95
7 dn

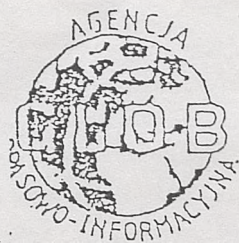
Wydaje się, że jeśli publiczność bawi się dziś i śmieje do rozpuku na klasycznej komedii kostiumowej, to jest to już niekwestionowany sukces teatru. A taka sztuczka udała się Jerzemu Stuhrowi, który wraz z zespołem nowohuckiego Teatru Ludowego wystąpił w Poznaniu w reżyserowanej przez siebie sztuce Moliera „Mieszczanin szlachcicem”, sam jednocześnie grając rolę tytułową.

Stuhr w malinach

Oczywiście bez Stuhra przedstawienie to nie miałoby szans powodzenia, chociaż on sam zanadto zawierzył własnej i niewątpliwej *vis comica*, która go zresztą nie zawiodła. Nie zawiódł go też aktorski instynkt, więc tak prowadzi rolę, by śmieszyła, nawet jeśli nie wysilając się specjalnie wyprzedaje w niej swoje znane i lubiane „chwyty”. Ba, nawet chwytą się sprawdzonej metody rozbawiania, prezentując swój obfity tors w różowym, damskim gorsecie. Dlatego też ta rola mieści się w konwencji kłownady (lepszego lub gorszego), ale nie ma w niej znamion kreacji. Wystarczy na zabawowy, relaksowy spektakl.

Stuhr umieścił swego pana Jourdain nie w jego domu, lecz w teatrze jarmarcznym. Jego Jourdain jest więc farsowy i błazeński, rodem z *dell'arte*. I wszystko w tym przedstawieniu okazało się zabawą w teatr, teatralnym fajerwerkiem, w którym ochoczo uczestniczył młody zespół Teatru Ludowego. Stuhrowy Jourdain (mieszczanin, który bardzo chciał mieć ogłódę szlachcica) nie ufa pozorom, ale bardzo chce wierzyć pozorom. W tym sensie jest współczesnemu widzowi bardzo współczesny. Bawią go nowe sytuacje, ale ponieważ nie wie, czy się przypadkiem nie ośmieszy, więc na wszelki wypadek raz po raz puszcza perskie oko do innych postaci lub uśmiezek zgrywusa, by po chwili już dać się na serio wciągać w maliny. A publiczność, cóż, korzysta wtedy i konsumuje Stuhra z nieukrywanym zadowoleniem.

Błażej KUSZTELSKI



"GLOB"
SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GAZETA WIELKOPOLSKA

Dodatek do Gazety Wyborczej
61-891 Poznań, ul. Kościuszki 57,

109 12 - 05 - 95

Nr z dn.

26 Poklaskać sobie

TEATR. „Mieszczanin szlachcicem” Teatru Ludowego z Krakowa

Jerzy Stuhr zrobił solidną farsę. Ale kiedy ją robił, nie pomyślał chyba, że na widowni zasiądą współcześni państwo Jourdain. To z nich śmiał się kiedyś Moliere. Dziś Stuhr gra dla nich. Gościnnie. Szkoda, że nie o nich. Bo owacje na stojąco i tak by dostał. Na pewno.

Znajomy opowiedział mi taką historię. Spotkał na spacerze sąsiada biznesmena. Sąsiad szybko się wzbogacił i pobudował, jeździł BMW... Teraz jechał na rowerze. I strasznie się zmieszał, że mój znajomy, człowiek starej daty i znawca savoir-vivre'u, widzi go w takim położeniu. Zsiadł z roweru i zaczął się tłumaczyć... Współczesny pan Jourdain?

Myslałem o nim, kiedy oglądałem wyreżyserowanego przez Stuhra „Mieszczanina szlachcicem”. Jego Jourdain nie podobał mi się. Stuhrowi image przykleił się do twarzy – jest taki sam, czy gra Piszczyka, czy siedemnastowiecznego głupca i poczciwiń. Ale nawet nie o to chodzi. Jourdain Stuhra jest uszyty z nici ciut za grubych. Za ewidentnie głupiec, za widocznie błazen, za bardzo na pokaz. Śmiejemy się z niego, ale tak jak ze starego, odświeżonego kawału. Aktorstwo świetne, do wygłupu jeszcze daleko, ale... Mnie nie wzruszył, jak niegdyś Bogumił Kobiela, do refleksji pobudził – ale pobocznej.

Stuhr-reżyser ulega pokusie teatru-widowiska. Nic w tym złego. Taka jest zresztą sztuka Moliere’a – im bliżej końca, tym więcej szaleństw. Mam tylko poczucie, iż zbyt często teatr chce się dziś podobać publiczności. I że Stuhr za bardzo o tym pamięta. Kiedy wreszcie dochodzi do finału i na scenę wkracza orszak sułtańskiego syna, by uczynić pana Jourdain mamamuszim – sztuka Moliere’a gdzieś się rozplywa po kątach, zbędna widowisku tańca, śpiewu, muzyki, tłumy, które się rozpoczyna...

Coś się wtedy staje. Coś niedobrego i niebezpiecznego. Aktorzy za dobrze się bawią na scenie. Dlatego, że się bawią, wychodzą im sceny zbiorowe. Efektownie. Swobodnie. Za swobodnie. Za bardzo się bawią sobą, dla siebie. Tańce i śpiewy hiszpańskie, włoskie, francuskie... Ruch, rytm, kolorowe światła, przytupywania, poklepywania... I pan Jourdain siedzi sobie z boczku, prostaczkowo się śmieje i klaszcze. I Stuhr gra coraz mniej, coraz bardziej jest luzacki... I dwudziestu aktorów – w większości jego byłych uczniów, w większości tło dla



MARIUSZ HERTMANN

Monsieur Jourdain Jerzego Stuhra

Stuhra – naśladuje go... I co? I nic. Prawie owacja.

Mam poczucie, że ten spektakl dryfuje. Trochę to dziwne, bo kurs wydaje się jasno określony. Wyznaczają go reakcje widzów, nie zamiary twórców. Tylko się mruga do państwa Jourdain na widowni: pośmiejemy się? zabawimy się? Nawet scenografia – niezmienna przez cały spektakl – jest jak pomnożona, potrojona scena jarmarczna, kuglarska.

Tak można. Ale można też inaczej. Tak, żeby mój znajomy zobaczył na scenie swojego sąsiada, a ów sąsiad – siebie. Tak, żeby teatr nie małpował komedii. Żeby był komedią – o nas. „Mieszczanin szlachcicem” jest po temu sztuką idealną. Także naszą. Współczesną.

ANDRZEJ NIZIOHEK

Teatr Ludowy z Nowej Huty, „Mieszczanin szlachcicem” w reż. Jerzego Stuhra. Teatr Polski w Poznaniu, 7 maja



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

Gazeta Robotnicza

50-010 WROCLAW

ul. Podwałe 62

98.....23 z dn. 05.-05...

Festiwal Jerzego Stuhra

26

Być szlachcicem

Gdybyśmy żyli w królestwie z całą pewnością jakąś koronowana głowa przyznałaby tytuł szlachecki za całokształt twórczej działalności Jerzemu Stuhrowi. Takie są obyczaje w królestwach ostatnimi czasy. U nas znakomity aktor, jeśli przewinie się parę razy (najlepiej w serialu) przez telewizję, może najwyżę liczyć na znaczną popularność, co daje przeważnie tylko satysfakcję. Dużo to czy mało?

Na pierwszym spektaklu „Mieszczanin szlachcicem” Moliera rozpoczynającym prezentację twórczości teatralno-filmowej Jerzego Stuhra, nie było kompletu widzów. Niech żałują ci, którzy wybrali kaptcie i telewizor. Bohatera trzydniowego przeglądu przywitały brawa, a żegnała owacja na stojąco. Takie są fakty.

Jakoś tak się ułożyło w biografii Stuhra, że kroczy śladami nieżyjącego Bogumiła Kobieli, który stworzył kreację w komedii Moliera „Mieszczanin szlachcicem”, a wcześniej wcielił się w postać Piszczyka z „Zezowatego szczęścia”. Krakowski aktor i reżyser nie powielił interpretacji nieżyjącego Kobieli prowadząc własną grę z postacią molierowskiego Pana Jourdaina. Buduje rolę znacznie ostrzejszymi środkami. Jego mieszczuch, który chce zostać szlachcicem jest pozbywającym nas wszelkich złudzeń i sympatii prostakiem i prymitywem.

Stuhr oparł się pokusie drzemającej w każdym aktorze, by w negatywnej postaci znaleźć, choć odrobinę ciepła i jakoś ją usprawiedliwić. Bezlitośnie obnaża głupotę, próżność i bufanadę Pana Jourdaina. Na sce-

nie oglądamy debila, który koniecznie chce się dowartościować dzięki pieniądзом zarobionym na handlu. Myślę, że Stuhr nie przypadkowo wybrał właśnie tę komedię i tak narysował rolę, bowiem Jourdainów wokół nas co niemiara.

Znakomity aktor zrealizował ten spektakl na scenie Teatru Ludowego w Nowej Hucie, gdzie pracuje wielu jego wychowanków (Stuhr jest także pedagogiem). Emanuje z niego tyle energii, że udziela się ona reszcie zespołu aktorskiego. Temperatura trochę „siada”, gdy Mistrza nie ma na scenie.

W nowohuckim spektaklu z przyjemnością oglądałem byłego wrocławskiego aktora, Zdzisława Sośnierza w roli Nauczyciela Filozofii.

Dziś Stuhr solo w „Kontrabasie”.

Krzysztof Kucharski 